

TIRY NA TORYY!!!



Koniec września, piękna pogoda. W samochodzie Grzegorz, pomolog, poszukujący starych, zapomnianych odmian drzew owocowych oraz trzy panie przemile, które - założwszy Społeczny Instytut Ekologiczny - redagują teraz „*Biuletyn Niecodzienny*”. Piątą osobą jestem ja, zaprzyjaźniony z benedyktynami od 24 lat (jadę w charakterze przewodnika). Celem naszej podróży jest bowiem stary klasztor benedyktynów w Lubiniu k. Kościana (fundacja Bolesława Śmiałego). Benedyktyni, najstarsza rodzina zakonna (1500 lat) w całej Europie, utrzymują się m.in. z uprawy ziemi na własne potrzeby; ogrody klasztorne, winnice, pasieki są też pretekstem do pracy fizycznej. Módl się i pracuj - mówi Reguła zakonu. Gościnność jest też wpisana w Regułę i przy każdym klasztorze znajdują się pokoje gościnne, w których za symboliczną opłatą można mieszkać przez kilka dni (www.benedyktyni.pl).

Przed kościołem przepiękny, najstarszy w Polsce kasztanowiec. Grzegorz zbiera kasztany z intencją zadbania o potomstwo pięknego drzewa. Mamy nadzieję, że kasztanowiec przetrwa zarazę (wcześniej był leczony przez mnichów).

Ogród klasztorny jeszcze nie doszedł do siebie; od czasu jego odzyskania w 1989 r. mnisi nie uporali się jeszcze ze wszystkimi zaniedbaniami poprzednich gospodarzy. Oglądamy domek ogrodnika, który stoi pusty. Gdyby ktoś z P. T. Czytelników miał kwalifikacje ogrodnicze, interesował się uprawami ekologicznymi powinien odwiedzić Lubią.

Następnego dnia wracamy z powrotem do Warszawy. Drogę wybieramy na mapie, przez małe miejscowości, oznaczoną jako lokalną. Jest piękna pogoda, mamy nadzieję zobaczyć złoto-jesienne polskie krajobrazy. I doznajemy szoku:

oto co kilka minut mija nas wielki TIR!; na drodze, która na mapie oznaczona jest najmniejszą kreską - jako lokalna! Małe wioski, ludzie od lat przyzwyczajeni do rowerów, dzieci na chodnikach, wąska droga ciasno biegnie wzdłuż zabudowań i starannie utrzymanych ogródków przed domami. W tym wszystkim ogromne TIRy, z trudem mieszczące się między ciasnymi zabudowaniami i ludźmi, bez możliwości manewru. Niszczą drogi - ich przejazd można porównać do rajdu ogromnego czołgu w alejkach ogródków działkowych! Horror!

Kto płaci za zniszczenia dróg lokalnych, przystosowanych do rowerów, furmanek, ruchu pieszego, gdzie nawet samochód osobowy czy dostawczy nie był częstym gościem? Ogromne TIRy, których kierowcy, chcąc oszczędzić parę groszy na benzynie i opłatach, wybierają teraz te właśnie drogi, nie licząc się w najmniejszym stopniu z życiem i potrzebami mieszkańców małych wiosek i miasteczek, niszczą w sposób widoczny infrastrukturę. Skąd władze tych miejscowości mają brać pieniądze na naprawę zniszczeń? Może należałoby wprowadzić - jak ongiś - roгатki pobierające opłaty za przejazd przez miasteczko?

Co mają powiedzieć mieszkańcy parterowych domów, których okna wychodzą na ulicę? Są zatruci paleniami i hałasem. Czy trudno sobie wyobrazić np. cysternę z gazem lub benzyną, której awaria może zniszczyć całą osadę. We wsiach i miasteczkach, przez które przejeżdżamy, okna tych parterowych budynków są nierzadko o mniej niż metr od rur wydechowych samochodów! A ile osób zginęło już pod kołami? Dzieci bawiące się na chodniku, piesi, rowerzyści, dla których rower jest jedynym środkiem dojazdu do szkoły, miejsca pracy.

Nasza trasa ma ponad 300 km i tylko kilka razy mijaliśmy jakieś zakłady przemysłowe. W większości mijanych wsi i osad - co było widać z okna - ludzie utrzymują się z tradycyjnego rolnictwa, które mogłoby być uważane za ekologiczne. Agroturystyka mogłaby być źródłem utrzymania, gdyby nie TIRy, których ilość jest dla nas po prostu przerażającym zaskoczeniem.

Kto stanie w obronie tych małych osad, wiosek, miasteczek, dosłownie rozjeżdżanych przez TIRy? A same TIRy na platformach kolejowych byłyby bezpieczniejsze w przypadku napadów. Nie niszczyłyby dróg i życia, przestałyby być horrorem dla Boga ducha winnych ludzi. Czy i kiedy panowie posłowie przyswoją sobie tę oczywistość??

Paweł Zawadzki

MASA KRYTYCZNA POZNAŃ

26 listopada na Starym Rynku w Poznaniu po raz trzeci spotkali się rowerzyści, by wziąć udział w *masie krytycznej*. Ta spontaniczna manifestacja rowerowa stała się okazją dla przeprowadzenia przez policję szkółki dla młodych kadetów. O godzinie 18. podjechało kilka samochodów, z których wyskoczyli młodzi funkcjonariusze, by poddać rutynowej kontroli rowerzystów. Spisano cyklistów i demonstracja ruszyła: Rynek, ul. Szkolna. Na ul. Podgórznej odezwała się policyjna szczekaczka „nie utrudniać ruchu”. Niezbyt wiemy, czego od nas chcą. Można przejechać jednym pasem. Czerwone światło na Marcinkowskiego, posłusznie stoimy. Zielone – ruszamy, wjeżdżamy na ul. 27 grudnia. Słychać policyjne syreny, samochody swobodnie mijają rowerzystów i zajeżdżają drogę. Zaczyna się łapanka na całej długości remontowanego Placu Wolności. Jadących ludzi policjanci bez pardonu zrzucają z rowerów, byle jak najszybciej i jak najwięcej. Część rowerzystów omija policyjną blokadę, gorzej mają samochody i tramwaje. Zatrzymani traktowani są przez policjantów jak bydło. „Rzuca się nimi” na maski samochodów i na otaczający Plac Wolności płot. Ubliza się im, szarpie, kopie, szykanuje i poniża. Prowokacja jest wpisana w scenariusz interwencji. Oficer grozi zatrzymanym nie tylko werbalnie, młodzi policjanci idą za przykładem. Padają słowa *gnoju łapy na płot i nogi szeroko rozstawione, bo zaraz dostaniesz wp...* Jeden z demonstrantów jest zatrzymany pod zarzutem napaści na policjanta (z braku jakichkolwiek dowodów, zarzut w końcu brzmi „groźba karalna”). Każda wypowiedź, każdy ruch kończy się szykaną o oskarżanie utrudniania czynności policji. W krótkim czasie wzdłuż płotu stoi kilkadziesiąt osób z rozstawionymi szeroko nogami i rękoma na płocie. Atmosfera się ochładza, ale funkcjonariusze stawiają się ponad prawem. Na prośbę o wytłumaczenie interwencji można się dowiedzieć, że *prawa to ty teraz nie masz żadnego*.

Powolywanie się m.in. na ustawę o policji kończy się słowami jednego ze starszych posterunkowych *mam ci wyuj... liścia?* Na poczekaniu stawia się zarzuty, jeśli masz światła i dzwonek, to proponowany jest ci mandat za inną absurdalną rzecz. Nikt nie przyjmuje mandatów i chwilę później wszyscy są już na komisariacie na Marcinkowskiego. Tu ciąg dalszy szykan i poniżania, choć już nie z takim rozmachem, bo pojawia się komendant. Przed komisariatem słychać krzyki „uwolnić zatrzymanych”. Na komisariacie niesamowity bałagan organizacyjny. Powoli wychodzą kolejne osoby potwierdzające odmowę przyjęcia mandatów. O 20.30 wszyscy, poza jednym demonstrantem, któremu postawiono zarzuty, są wolni i oczekują na sprawę w sądzie grodzkim.

tekst i foto **Marek Piekarski**
sanch@wp.pl



26 LISTOPADA

MANIFESTACJA

POLICJA

PONAD PRAWEM